

PIŁA MIASTO MŁODOŚCI

Przybysza uderza w go-
żlinach rannych, zgieł-
kliwa ruchliwość ulic
miasta wypełnionych
dzieci i młodzieżą. I
to wrażenie pozostaje,
kiedy nawet zaznajomi się z mia-
stem na dobre, pozna jego wszystkie
walory gospodarcze i społeczne,
wchłonie urodę nowoczesnych ulic,
domów i placów, zachwyci się sta-
rym parkiem, zaduma w Muzeum
Wielkiego Polaka nad historią mia-
sta i trudem jego odradzania. Bo
jest w istocie Piła miastem młodych.
47 procent jej ludności nie przekro-
czyło jeszcze lat osiemnastu. Nic
więc dziwnego, że młodzi obywatele
Piły zajmują od dawna poczesne
miejsce w planach jego społecznego
rozwoju.

Poza Poznaniem, Piła jest jedy-
nym w naszym województwie mia-
stem, gdzie wszystkie dzieci opusz-
czające szkołę podstawową znajdują
miejsce w szkołach zasadniczych i
średnich. Jest tych szkół 17. Uczy się
w nich 7.576 chłopców i dziewcząt.
W szkołach podstawowych znajduje
się 4.570 dzieci. „Maluchy” znajdują
miejsce w 11 przedszkolach. Też bez
precedensu jak na 42-tysięczne mia-
sto.

Troska o jak najlepsze wychowa-
nie demograficznego wyżu Piły
sprawia, że ojcowie miasta z prze-
wodniczącym Prezydium MRN Sta-
niśławem Maciejem (zwanym w mie-
ście Stanisławem Piłskim) na cze-
le — jak żrenicy oka pilnują wszyst-
kich inwestycji przeznaczonych mło-
dym użytkownikom. W ubiegłym ro-
ku we wrześniu oddano do użytku
dwie nowe szkoły: piękną szkołę
podstawową, której nowoczesna archi-
tektura wita z daleka każdego przy-
bywającego do Piły i Technikum
Naftowe wraz z internatem. W ple-
biscyście, zorganizowanym wśród
dzieci, na nazwę nowej szkoły pod-
stawowej zwyciężył, zawsze żywy
wśród nich kolorytem swojego pi-
sarstwa — Jan Brzechwa. Szkołę
otwierała jego żona, zachwycona zna-
jomością twórczości Brzechwy w
dziecięcym świecie młodych obywateli
Piły.

Dbalność o wszechstronne wychowa-
nie dzieci, towarzysząca od lat
nauczycielstwu Piły, sprawiła, że dla
lepszego pielęgnowania wielostron-
nych talentów dzieci i młodzieży
otwarto przed kilkoma tygodniami w
Piłce Dom Kultury Dziecka i Młodzie-
ży. Znajduje się w nim pracownia
plastyczna i modelarnia; pracuje ba-
let i zespół dramatyczny. Jest też
klub z telewizorem i obszerna sala
improwizacji.

Baczny obserwator dostrzeże nie-
wątpliwie w życiu Piły specyficzny
klimat społeczny, różniący to mia-
sto od innych w Wielkopolsce. Jest
w nim uporczywa chęć cierpliwego
budowania, przynosząca w rezulta-
cie harmonijny rozwój wszystkich
elementów życia społecznego. Kli-
mat ten wytworzyli ludzie, którzy
straciwszy w czasie wojny własny
dom z rozsądną troską zaczęli na-
nowo budować życie swoje i tego
ciężko rannego miasta. Cechowała
ich odwaga, nieodczuwalna przy po-
wzięciu decyzji osiedlenia się w
mieście, którego pejzaż, przepojony

grozą ruin i martwość, nazwał je-
den z pierwszych osadników — Jan
Hycki — „Księżycowym pejzażem
Piły”.

— Nie możecie sobie wyobrazić —
mówi on często w gronie młodych
pracowników kina Iskra, którego od
21 lat jest kierownikiem — jak wy-
glądała Piła kiedy znalazłem się w
niej w kwietniu 1945 roku. Ulice sta-
ły wąskie ścieżki wśród gruzów.
Kiedy wszedłem do jednego z do-
mów znajdującego się na ocalałym
od zniszczenia przedmieściu, aby wy-
szukać mieszkania dla siebie, żony
i półrocznego dziecka, ze zdziwie-
niem spostrzegłem duży zegar, któ-
rego wahało się spokojem odmie-
rzać czas. Ten zegar był dla mnie
symbolem. Czulem, że muszę tu zo-
stać. Ze przyszedł dla Piły czas, w
którym znowu my, Polacy, będzie-
my własną pracą odmierzać jej hi-
storię.

Jan Hycki przywędrował do Piły,
tak jak wielu jej mieszkańców, z
okolic Wilna. Wielu pierwszych osad-
ników przybyło do miasta z Bydgo-
skiego i Poznańskiego. Mieli różne
kwalifikacje i zawody. Ale środowi-
skiem, które od początku zaważyło
na obliczu społecznym miasta i
techno weń energię — byli kole-
jarze. Oto co na ten temat można
odeczytać w zapiskach kronikarskich
miasta Piły.

„18. II. 1945 r. Do miasta przybyli pierw-
si kolejarze z Bydgoszczy i przystąpili
do uruchamiania stacji kolejowej. W po-
czątkach marca ekipa kolejarzy urucho-
miła miejscową elektrownię, dzięki cze-
mu stacja i okoliczne zabudowania o-
trzymały oświetlenie elektryczne.”

20. II. 1945. Piłski węzeł kolejowy roz-
począł normalną pracę. Liczba rejestro-
wanych w tym dniu mieszkańców wy-
nosiła 3.000.

W kwietniu i maju notuje się napływ
nowych mieszkańców, zwłaszcza rodzin
kolejarzy z Bydgoszczy, Torunia i Po-
znańska. Przybywają też pierwsi repatrian-
ci z Bugu. Wszyscy znajdują natych-
miast pracę przy uruchamianiu zakładów
przemysłowych, z których na czoło wy-
sunęły się Zakłady Naprawcze Taboru
Kolejowego.



1. VI. 1945 ruszają Zakłady Napraw-
cze Taboru Kolejowego, przyjmując do
naprawy pierwszy parowóz.”

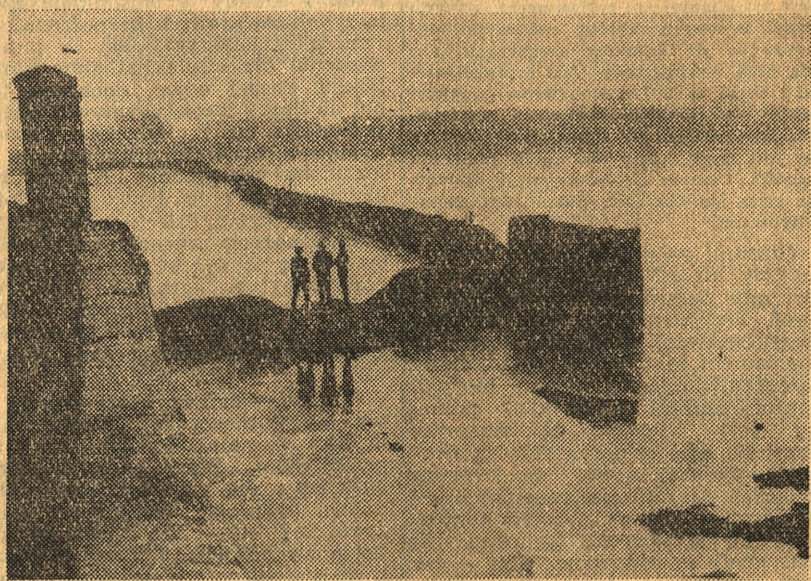
Co roku kronikę Piły zapisywała
ofiarą pracy jej mieszkańców. Przybywało zakładów przemy-
słowych. Roszarnia Lnu i Konopi.
Zakłady Ziemniaczane, Fabryka Ma-
szyn Rolniczych, Fabryka Papy, Ce-
gielnia, Wytwórnia Betonów, Fabry-
ka Żarówek „Lumen”, Przedsiębior-
stwo Poszukiwań Naftowych, Baza
Geofizyki — stanowiły swym ciągłym
rozwojem życiodajną aortę organiz-
mu miejskiego Piły. One determinu-
ją rozwój budownictwa mieszkani-
owego, przynoszący miastu w latach
1957—1967 — 8.263 nowe izby miesz-
kalne.

Budownictwo przemysłowe bę-
dzie, rzecz jasna, również w dal-
szych latach stanowiło o rozwoju go-
spodarczym i społecznym Piły. A ma-
to miasto wyjątkowo dogodne ekono-
micznie warunki dla inwestycyj-
nych poczynąć przemysłowych. Set-
ki metrów kwadratowych terenów
uzbrojonych i setki młodzieży co ro-
ku opuszczającej mury szkolne. To-
też w planach eutuzjastów Piły, do
których należy również Teresa Men-
dat — przewodnicząca Miejskiej Ko-
misji Planowania Gospodarczego,
znajdują się projekty budowy Zakła-
du Betonów Komórkowych, adapta-
cji tzw. „hali Zepelina” na oddział
poznańskiego „Pometu”, produkują-
cy odlewy aluminiowe dla potrzeb
kolejnictwa i wiele wiele innych, po-
zornie dalekosieżnych, lecz faktycz-
nie zwyczajnych dla każdego, kto po-
znał twórczy upór mieszkańców Pi-
ły.

14 lutego miną 22 lata od dnia, w
którym twierdza piłska broniła
zaciekle trzy tygodnie przez hitle-
rowców — po 173 latach niewoli po-
wróciła jako stary, gród Polski do
Macierzy. To jednocześnie 25 lat
od czasu, kiedy żądanie powrotu pra-

Dokończenie na str. 2

Warta wylata



Fot. - K. Przychodzki

Korespondencja własna z Wielkiej Brytanii

Moje zainteresowanie brytyj-
ską służbą zdrowia zrodzi-
ło się zupełnie przypadko-
wo. Pewnego dnia poczu-
łem, że mam podwyższoną
temperaturę, byłem jakiś słaby, sen-
ny. Trochę się przestraszyłem: nie
ma nic gorszego niż zachorować bę-
dąc za granicą. Ale nie było wyjś-
cia, ustaliłem już z gospodynią do
jakiego lekarza pójść, o której go-
dzinie, gdy tymczasem wieczorem,
podczas mycia zauważyłem na ra-
mieniu, strupek. Nagle ośnienie:
przez tydzień temu w Warszawie
byłem szczeniemy przeciw ospie!

Nazajutrz opowiedziałem o moim
odkryciu gospodyni, która żywo się
nim zainteresowała. Właśnie obo-

Mieczysław Skąpski

Drogie zdrowie

wiązywały w Anglii zarządzenia
ochronne, spowodowane wykryciem
kilku wypadków ospy. Każdy wy-
jeżdżający i wjeżdżający na wyspę
musiał być zaszczepiony. Moja gos-
podyni wysłała akurat dwójkę swo-
ich dzieci na kontynent, na wakacje
i musiała je oczywiście zaszczepić.
Stąd jej zainteresowanie tym,
ile mnie w Polsce szczepienie kosztowa-
ło. Pytanie: nie zaskoczyło.
przyczyniliśmy się już przecież,
że za takie usługi się nie płaci. Z
kolei moja odpowiedź zaskoczyła
gospodynię. Naprawdę nie nie kosztu-
je? A ja musiałam zapłacić za
każde dziecko po półtora funta szter-
linga. Razem trzy funty. To niema-
ła suma.

Zaszczepienie było więc obopólne.
Wiadomo mi było przecież, że Wiel-
ka Brytania ma najbardziej bodaj-
że uspołecznioną służbę zdrowia
spośród wszystkich państw kapita-
listycznych, że wszelkie usługi lekarskie
są w tym kraju bezpłatne.

Jest to wielkie osiągnięcie społeczne
tego kraju, które zresztą leży cięż-
kim brzemieniem na państwowym
budżecie.

Jak wiadomo uspołecznienie bry-
tyjskiej służby zdrowia jest osią-
gnięciem brytyjskiej Partii Pracy.
dokonanym zaraz po objęciu rzą-
dów w 1945 r. Uspołecznienie to
było jednym z czołowych haseł wy-
borczych i objęło bezpłatne usługi
służby zdrowia, porady lekarskie
oraz opiekę szpitalną. Utworzono
instytucję lekarzy rejonowych, przy-
czym pacjent może sobie lekarza
swobodnie wybierać nawet z innej
czelniczy. Lekarz otrzymuje za każ-
dego pacjenta wpisanego na swoją
listę wynagrodzenie od państwa w
wysokości, około jednego funta szter-
linga rocznie. Jeśli średnio wypada
na lekarza 2 tysiące pacjentów da-
je to dochód pokaźny. Ale w związ-
ku ze swobodnym wyborem istnie-
ją ogromne różnice w liczbie pa-

Choroba wędrownicza

Wielkopolskie Zakłady Te-
letechniczne zatrudnia
zaraz galwanizatorów, szli-
fierzy, frezów i ślusarzy
(...) Miejskie Przed-
siębiorstwo Komunikacyjne poszu-
kuje kandydatów na motorniczych
oraz kierowców autobusów (...)
Okręgowy Zarząd Telekomunikacji
Miejskiej — kandydatek na
telefonistki. Poznańskie Przed-
siębiorstwo Budowlane przyjmie mu-
rarzy, tynkarzy, instalatorów, ope-
ratorów sprzętu itd., itp. Strony o-
głoszeniowe poznańskich gazet peł-
ne były — i są nadal — tego rodza-
ju anonsów.

Ciekawe przy tym, że od lat, w
układzie treściowym tych anonsów
raczej nie zachodzą zmiany. Domi-
nuje suchy schemat: kto szuka, ko-
go szuka, adres i godziny przyjęć.
Żadne z poszukujących pracowników
przedsiębiorstw, może z wyjąt-
kiem MPK, nie próbuje zachęcić
ewentualnych kandydatów rozze-
rzeniem tego schematycznego tekstu
ogłoszeń informacjami o tym, że za-
kład ma własną stołówkę ze smacz-
nymi i tanimi obiadami, że dyspo-
nuje ośrodkiem zdrowia i żłobkiem,
że organizuje wycieczki i wczasy.

Wydaje się, że nie jest to zjawisko
przypadkowe. Nawyk stał się drugą
naturą. Sekcje kadr tak bardzo przy-
wyki do sytuacji sprzed wielu lat,
w której one decydowały kogo przy-
jąć a kogo nie, że w zmienionej sy-
tuacji nie bardzo potrafią działać po-
nowemu.

W końcu grudnia 1966 r. na każ-
dego mężczyznę poszukującego pra-
cy w Poznaniu, w Wydziale Zatrud-
nienia czekały aż 64 oferty różnych
przedsiębiorstw. Na każdą poszuku-
jącą pracę kobietę — 8 ofert. Takiej
sytuacji na rynku pracy w naszym
mieście jeszcze nie notowano. Mimo
zimy i pewnego zastój w robotach
sezonowych, zarejestrowany niedo-
bór siły roboczej sięga 3000 osób.
Praktycznie — jest chyba jeszcze
większy, gdyż liczne zakłady w ogó-
le nie zgłaszają swoich potrzeb w
Wydziale Zatrudnienia, zjadając sobie
sprawę z tego, że tam też ludzi nie
znajdą. Niektórzy szacują więc ak-
tualny niedobór siły roboczej w na-
szym mieście na około 6000 osób.

Na „import” pracowników z oko-
licznych powiatów liczyć nie należy.
Do Poznania i tak dojeżdża codzien-
nie 35 tysięcy ludzi i władze powie-
dzą: stop! — rolnictwa ogołocąc
nadal z rąk do pracy nie wolno. Po-
zostaje więc racjonalne gospodarze-
nie tym zasobem siły roboczej, ja-
kim miasto już dysponuje.

Racjonalne gospodarzenie, w tym
przypadku, oznacza zapewnienie do-
pływu kadr do kluczowych dla go-
spodarki narodowej dziedzin pro-
dukcji oraz zapewnienie miastu nor-
malnej obsługi komunalnej. Lecz
jest to zadanie niezwykle trudne.
Każde przedsiębiorstwo uważa bo-
wiem siebie za ważne. Z kolei dłu-
gotrwały niedobór siły roboczej, wy-
zwolił wady mechanizmu, obiektyw-
nie działającego na rynku pracy
prawa podaży i popytu, ze wszyst-
kimi z tego płynącymi konsekwen-
cjami.

Przed wszystkim potęguje się
fluktuacja załóg. Tysiące pracow-
ników przemierzają się co roku z
jednych zakładów do drugich. W ro-
ku ubiegłym np. z Zakładów „Ce-

gielskiego” odeszło do innych przed-
siębiorstw prawie 1000 pracow-
ników, z Fabryki Łożysk Toczących —
około 600, z Fabryki Maszyn Zniw-
nych ponad 400 itd. itp., wpływając
dezorganizując na tok produkcji. A
są podobno w Poznaniu takie rodza-
je robót, gdzie w ciągu roku wymie-
niają się — ilościowo — całe za-
łogi.

Jeśli przyjmiemy, że w ciągu ro-
ku przepływa z zakładu do zakładu
dziesiąta część zatrudnionych w na-
szym mieście i że przerwa w pracy
oraz formalności związane ze zwol-
nieniem i przyjęciem każdego pra-
cownika trwają 6 dni, to straty z te-
go tytułu sięgają wielu milionów
złotych rocznie. A przecież trzeba by
także doliczyć koszty przyuczenia
nowego pracownika, koszty dezorga-
nizacji rytmu produkcji, zmniejszo-
ną okresowo wydajność itd. Oto ska-
ła problemu, któremu na imię fluk-
tuacja kadr.

Jedną z przyczyn tego kosztow-
nego zjawiska już wymieniliśmy.
Pozostaje jednak pytanie: dlaczego
w pewnych zakładach i instytucjach
występuje ono w stopniu nasilonym,
a w innych nie ma go prawie wcale?

Wbrew obiegowej opinii, że winą
leży w nieprawidłowym układzie
płac w branży i między branżami,
chęć uzyskania wyższych zarobków
nie jest bynajmniej zawsze i wszę-
dzie głównym powodem porzucania
pracy i przenoszenia się. Badania,
przeprowadzone przez Zespół Badań
i Analiz Zarządu Głównego Związ-
ku Zawodowego Metalowców w lic-
nej grupie dużych przedsiębiorstw
przemysłu maszynowego wykazały,
że przyczyną fluktuacji
tkwią głównie w podłożu
psychologicznym i socjal-
nym.

Wszędzie tam, gdzie jest dobra
organizacja i atmosfera, gdzie spra-
wiedliwie dzieli się pracę i płace,
gdzie człowiek wie, że jest przez
kierownictwo dostrzegany i rzetelnie
oceniany, że ma jakiś wpływ na tok
produkcji, tam fluktuacja jest ogra-
niczona.

I odwrotnie: tam, gdzie panuje
organizacyjny bałagan a pracownik
czuje, że nikt o niego nie dba i nikt
się z jego zdaniem nie liczy, tam
płynność kadr jest duża.

Naturalnie, poruszona tu sprawa
nie wyczerpuje bynajmniej tematu.
Fluktuacja kadr jest zjawiskiem
niezwykle złożonym i jej przyczyny
mogą być w poszczególnych zakła-
dach odmienne. Biorąc pod uwagę
prawo człowieka do wyboru zawo-
du, miejsca pracy, środowiska itd.
— zjawisko to zawiera w sobie także
pewne cechy pozytywne. Bo czyż
można przypisać człowieka do za-
kładu, jak niegdyś przypisywano
chłopa do ziemi?

Rzecz w tym, że cechy negatywne
tego zjawiska przytłaczają dzisiaj
jego cechy pozytywne a straty są
większe niż korzyści. Dlatego trzeba
mu przeciwdziałać. Lecz nie me-
todami administracyjnymi, bowiem
życie wykazało, iż ich skuteczność
jest znikoma. Ten rodzaj społecz-
nej choroby należy kurować szer-
okim zestawem leków: ekonomicz-
nych, politycznych, socjalnych i psy-
chologicznych. Zaczyna jednak
trzeba od gruntownego poznania
przyczyn samej choroby.

Dokończenie na str. 2

Psychoanaliza i „dialog małżeński”

Jednym z zagadnień przysparzających Kościołowi rzymskiemu sporo kłopotów jest aktualny stosunek kościelnej doktryny małżeńskiej do rzeczywistości społecznej. Sprawa ta była szeroko dyskutowana w czasie obrad Soboru Watykańskiego II. Papież Paweł VI powołał specjalną komisję pontyfiakalną złożoną z teologów oraz przedstawicieli różnych zainteresowanych dyscyplin naukowych, która miała dostarczyć materiał badawczy i przemyśleć do ostatecznej decyzji najważniejszych czynników kościelnych. Ponadto papież ustanowił komisję dodatkową złożoną z 15 kardynałów i biskupów, która miała pomagać komisji ekspertów. W rezultacie obie te instytucje nie doszły do ujednolicenia opinii czego wyrazem było złożenie papieżowi nie jednego lecz dwu sprawozdań: przez kard. Ottaviano, który sprzeciwiał się regulacji urodzeń oraz kard. Doepfnera aprobującego planowanie rodziny. Komisje zakończyły obrady, papież nie podjął jednak ostatecznej decyzji w sprawie akceptacji planowania rodziny i używania środków antykoncepcyjnych.

Organizuje się z inspiracji środowisk katolickich liczne konferencje, na których uczeni, filozofowie i teologowie prezentują swe poglądy. W roku 1966 wydano obszerną pracę pt. „Sexualité humaine” (seksualne problemy człowieka), która stanowił zbiór materiałów z takich własnych konferencji. Uderza ogromna liczba uczestników, przeprowadzających analizę życia seksualnego i miłości w oparciu o podstawowe założenia psychoanalizy Freuda, którego teoria była dotychczas zdecydowanie przez Kościół odrzućana. Obecnie wydaje się nawet katolickie prace poświęcone psychoanalizie; jedna z nich pt. „Revolucja Freudowska” rozpatruje pozytywnie wiele aspektów psychoanalizy i szuka wniosków, które mogłyby być zastosowane również na użytek Kościoła. Podnoszą się głosy, że interpretacja życia seksualnego w kategoriach „grzechu”, „egoizmu” i „hedonizmu” nie obejmuje całej problematyki moralnej związanej z ludzkimi przeżyciami seksualnymi. Popęd seksualny traktowany bywa w publikacjach katolickich coraz częściej jako zjawisko normalne w pełni uzasadnione biologicznie i psychicznie, które nie może być rozpatrywane jako grzeszne.

Odrębnego punktu widzenia dostarczają rozważania historyczne, które starają się odtworzyć rozwój pojęć i zmiany w stosunkach społecznych związanych bezpośrednio z życiem seksualnym. Jest to punkt widzenia dla intelektualistów katolickich raczej nowy, dochodzą też oni do dość niespodziewanych wniosków. Oto np. L. Beirnaert zwraca uwagę w artykule drukowanym w jezuickim czasopiśmie „Études” na historyczność pojęć i poglądów dotyczących rodziny, dziecka oraz natury i istoty pojęcia seksualnego. Zwraca on uwagę, iż w tradycyjnym społeczeństwie typu agrarnego dzieci są przede wszystkim traktowane jako bogactwo, jako siła robocza wzmagająca prężność ekonomiczną rodziny.

W społeczeństwie, które wyszło z tego pierwotnego stadium znaczenie dziecka w rodzinie ulega istotnym przemianom. „Błogosławiona” płodność traci swe dotychczasowe znaczenie, ustępując miejsca zdolności „twórczej” nie tylko rodzenia, ale także wychowania dziecka do możliwie wysokiego poziomu kulturalnego. Uznaje się już osobowość dziecka, której kultywowanie, obok zapewnienia materialnej egzystencji staje się celem i zadaniem rodziców. Kobieta przestaje być wyłącznie „rodzicielką”, której płodność decyduje o sile rodziny, podkreśla się natomiast rolę matki-wychowawczyni i żąda od niej bogatej osobowości. Liczebność rodziny staje się coraz bardziej związana ze społecznokulturalnym poziomem życia i od tego poziomu uzależniona. Stąd wniosek: jeżeli nadmierna liczebność obniża poziom społeczny i kulturalny rodzi-

ny, staje się zjawiskiem negatywnym, a regulacja urodzeń zyskuje pozytywny walor społeczny.

Jeżeli skłonni jesteśmy — piszą autorzy katolicy — uznać stosowanie sztucznych środków lekarskich dla ratowania naszego zdrowia w wypadku choroby i nie przychodzi nam na myśl protestowanie przeciwko tym środkom, to dlaczego w dalszym ciągu wielu katolików występuje przeciw używaniu „sztucznych” środków regulacji urodzeń. Byłoby to przecież jedynie ingerowanie w naturalny proces biologiczny analogicznie do interwencji lekarskiej. Wielu katolików uznaje w dalszym ciągu sferę seksualną życia za swoiste tabu, którego dotknięcie znieważa miłośny fundament etyki katolickiej. Oskarża się zwolenników regulacji urodzeń i planowania rodziny o popieranie „hedonizmu” zgubnego dla duchowego rozwoju człowieka. Tymczasem, zdaniem postępowych autorów katolickich, pogląd ten całkowicie różni się nie tylko z rzeczywistością społeczną, a także z humanistycznymi wartościami życia rodzinnego i małżeńskiego.

Nowa sytuacja społeczna rodziny wydobyla na jaw właśnie owe aspekty humanistyczne. Zalecane przez konserwatywną opinię katolicką stosowanie okresowej wstrzemięźliwości, zdaniem autorów postępowych prowadzi do zaburzeń w normalnym, małżeńskim życiu, nie istnieje bowiem zgodność pomiędzy seksualnymi potrzebami zainteresowanych partnerów, a okresami zalecanej powściągliwości. Pożycie małżeńskie musi przebiegać bez zakłóceń także dla dobra ogólnej atmosfery w rodzinie. Niemniej ważny niż ściśle seksualny jest także psychologiczny i duchowy aspekt sprawy. Płodność rodziny zostaje coraz to bardziej podporządkowana celom humanistycznym: miłości, szacunku i właściwego wychowania potomstwa.

Dziecko staje się nie tylko owocem współżycia fizycznego lecz w głównej mierze owocem miłości i duchowego „dialogu małżonków”. W społeczeństwie, które w coraz większym stopniu uzyskuje świadomość praw rządzących jego życiem, nie do pomyślenia jest pozostanie środowisk katolickich na poziomie opinii sprzed kilkuset lat. Dawne pojęcia płodności czysto fizycznej powinny zostać zastąpione przez pojęcie płodności prawdziwie ludzkiej, a to jest związane z regulacją urodzeń dostosowującą liczebność rodzin do poziomu, który gwarantowałby nie tylko fizyczny ale także psychiczny i moralny rozwój.

Poglądy te, aczkolwiek wypowiedziane przez „prywatnych” autorów, publikowane były jednak w bardzo wpływowych czasopiśmie katolickich przede wszystkim w jezuickim „Études” i z pewnością wywierają znaczny wpływ na kształtowanie się szerokiej opinii katolickiej, a nawet zdolne są oddziaływać na definitywne decyzje najwyższych czynników Kościoła rzymskiego.

PIŁA MIASTO MŁODOŚCI

Dokończenie ze str. 1

starych ziem zachodnich do Polski zostało wpisane na karty programu politycznego Polskiej Partii Robotniczej. Te dwie daty — tak ważne dla historii tego miasta zostaną uczczone obchodem, który w przeddzień rocznicy wyzwolenia Piły utrwali raz jeszcze ich historyczny symbol. W poniedziałek, 13 bm. zostanie wręczony organizacji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w ZNTK — sztandar. Będzie to święto kolejarzkiej braci, a jednocześnie święto całej Piły — miasta powstałego z rolniczego oporu, patriotycznego entuzjazmu oraz krzepiącej siły młodych i trochę starszych jego obywateli.

BARBARA MOSIŹNA

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Powolny, ale trwały zaczyna się stawać renesans Cypriana Norwida. Ostatnią nowością są przygotowane przez PIW „Dwa poematy miłosne” Cypriana Norwida, poprzedzone esejem J. W. Gomułki: „Rzeczywistość i marzenie”. Te dwa poematy, to „Szczesna” i „Assunta (czyli Spojrzenie)”. Gomułka odszyfrował te momenty życia Norwida, z których wypłynęły oba utwory — u tego mistrza słowa poezji były nie tylko odbiciem ile przeobrażeniem realnej rzeczywistości, uczuć i doznań. I tak w „Szczesnej” odnajdujemy nawrót uczucia żywionego do Kamili, nieznanej jeszcze z nazwiska, uczucia, zakończzonego zawodem. W „Assuncie” natomiast odzwierciedla się krótki, ale wyjątkowo radosny epizod z Zofią Węgierską, przedwcześnie, niestety, zmarłą.

Skoro zaś o poetach... Arcyinteresującym wydawnictwem okazuje się zbiór listów Leopolda Staffa — „W kręgu literackich przyjaźni”, w opracowaniu K. Czachowskiej i I. Maciejewskiej. Korespondencja ta rzuca nie tylko światło na związki poety z interesującymi ludźmi środowiska, ale również przynosi wiele materiału źródłowego do życia artystycznego od początków obecnego wieku aż po ostatnie dni Staffa. Adresatów listów są m. in.: O. Ortwin, M. Wolska, Miriam, M. Pawlikowski, K. Makuszyński, J. Tuwim, J. i L. Morstis-

nowie, J. Mortkiewiczowa, J. Krzyżanowski, T. Rózewicz. Dobrze się stało, iż wydany został dwutomowy wybór najlepszych tekstów Tadeusza Rittnera — „Dramaty”; przynoszącą mnóstwo informacji o tym dosyć kontrowersyjnym autorze przedmową napisał teatrolog Zbigniew Raszeński. Twórczość Rittnera przeżywa zdecydowany renesans, sztuki jego wchodzi do repertuaru jako żelazne pozycje, tymczasem z jednej strony czytelnik miał utrudniony dostęp do tek-

Eugeniusz Paukšta

Klasyka polska i obca

stów, z drugiej bardzo niewiele wiedział o samym autorze i dosyć osobliwych kolejach jego życia i pisarstwa. Wybór zawiera: „Wilki w nocy”, „Głupi Jakub”, „W małym domu”, „Człowiek z budki suflera”, „Lato” i „Odwiedziny o zmroku”.

Również ze wstępem Zbigniewa Raszeńskiego ukazały się „Utwory dramatyczne” Jana Baudoin'a. Jest to jedenasty tom serii „Teatr Polskiego Oświecenia, ukazujące się pod ogólną redakcją Jana Kotta.” Zarówno twórczość Baudoin'a, stanowiąca

głównie trawestację tekstów francuskich, jak było to obyczajem epoki, mało dotychczas znana, a nosząca na sobie cechy okresu, jak i jego bujne, awanturnicze życie, stanowią interesujący przyczynek do dziejów naszej sceny. Baudoin był w końcu najpoważniejszym rywalem Bogusławskiego, został zwyciężony, ale na pewno wart jest przypomnienia.

Duża, trzytomowa edycja „Dzieł wybranych” Iwana Turgieniewa, z postawami Pawła Hertza zadowala w zastosowanej zasadzie wyboru. Weszły tu bowiem powieści i opowiadania tego serdecznie humanistycznego pisarza najbardziej znane, najwartościowsze i dla twórczości jego najbardziej reprezentatywne, z „Zapiskami myśliwego” na czele.

W PIWowskiej „Bibliotece Arcydział” otrzymaliśmy nowe wydanie „Głodu” Knuta Hamsuna. Ta głośna powieść Hamsuna, oparta zresztą w znacznej mierze na osobistych przeżyciach, obok wartości humanistycznego dokumentu, jest też zarazem — jak słusznie głosi notka redakcyjna — „wielkiej miary dziełem literackim reprezentującym fazę przełomu między dziewiętnastowiecznym realizmem a modernizmem”.

I na zakończenie wiadomości dla zainteresowanych o wyjściu interesującej w zamyśle i w wykonaniu pracy Elżbiety Grabskiej „Apollinaire i teoretycy kubizmu w latach 1903—1918”. Autorkę interesują związki i wpływy łączące Apollinaire'a z kubizmem w sztukach plastycznych.

ponadpodstawowej, która lada rok stanie się również powszechna i obowiązkowa dla wszystkich.

Wydaje się, że nasza reforma szkolna przeoczyła ten fakt i sama sobie stworzyła konieczność rychłej rewizji”.

NA STYKU LICEUM I UCZELNI

Są też sprawy w szkolnictwie, które reforma nie rozwiązuje do końca. Pisała o nich przed dwoma tygodniami „Kultura”, relacjonując przebieg dyskusji nauczycieli na temat podręczników i programów historii. Obecnie ten sam tygodnik publikuje stenogram następnej dyskusji na ten temat; wzięli w niej udział głównie profesorowie szkół wyższych. I oni podkreślają potrzebę łączenia tego, czego uczy się w szkole niższego stopnia z tym czego uczyć się będzie w szkole wyższego stopnia.

Z jednej strony wypowiadają się przeciwko zlikwidowaniu nauczania historii w ostatniej klasie liceum. Postulat do niezwykle istotny przede wszystkim dla tych, którzy podejmą naukę w szkole wyższej; jeśli tam zetkną się z nauczaniem historii, to roczna przerwa może przynieść daleko idące skutki negatywne, co zresztą odnieść można nie tylko do nauki historii. Z drugiej strony — wobec tego, że poziom nauczania historii w szkolnictwie podstawowym i średnim jest niezadowolający — potrzebne wydaje się nawiązanie na nowo zerwanych w ostatnich latach bliższych kontaktów środowiska naukowego z nauczycielami. Dyrektor Biblioteki Narodowej dr Witold Stankiewicz tak o tym mówi:

„W przeszłości była dość ścisła łączność historyków-badaczy z nauczycielami historii, zwłaszcza szkół średnich. Znany jest powszechnie fakt, iż wielu nieraz nawet bardzo wybitnych historyków łączyło swoją pracę naukowo-badawczą z nauczaniem historii w szkole. I odwrotnie — wielu nauczycieli prowadziło własne badania i brało udział w życiu naukowym historyków. Dziś obserwujemy bardzo słabe powiązania między tymi dwoma środowiskami. Należałoby więc zastanowić się, jak zmienić ten stan rzeczy, jak zwiększyć odpowiedzialność przedstawicieli nauki historycznej za stan i poziom nauczania historii w szkolnictwie podstawowym i średnim”.

Niewątpliwie jest to sprawa niezwykle istotna i dotyczy zapewne nie tylko historyków.

KULT PARAGRAFÓW

Jeśli w czymś jest niedobrze, zwołuje się konferencje, które stwierdzają właśnie, że jest niedobrze i uchwalają, co należy zrobić, żeby było dobrze. Potem zwykle jest nieco lepiej, ale nigdy nie tak dobrze, jakby wynikało z uczonych konferencji i decyzji. Więc ponownie zwołuje się konferencje itd.

„Może dlatego — pisze KONSTANTY GRZYBOWSKI W ŻYCIU LITERACKIM (felieton „TAK ŚWIATEK SIĘ — (NIE) TOCZY...”), że przyczyną bezskuteczności tylu trafnych prób, tylu reform, nie jest bynajmniej ani mylna ocena sytuacji przez uczonych mężów, ani mylna decyzja co do środków zaradczych, ani zła wola wykonawców (jest przecież wielu i coraz więcej wykonawców o dobrej woli), ale złe funkcjonowanie maszyny. Maszyna czasem źle funkcjonuje dlatego, że jest zbyt prosta dla zadań jakie ma spełnić. Czasem źle funkcjonuje dlatego, że stała się dla tych zadań zbyt skomplikowana.”

Czasami po prostu należy zmienić metody zarządzania, zwłaszcza wtedy, gdy panuje kult paragrafu, co prof. Grzybowski określa chorobą współczesności całego świata. Każdy (parlament, minister, dyrektor departamentu, zjednoczenia, fabryki, rektor uczelni i dziekan) skłonny jest wierzyć, że wszystko musi się ująć w paragrafy. Na swobodę własnej oceny, na swobodę własnej decyzji nie pozostawia się już prawie miejsca. A potem kontroluje się przede wszystkim to, jak paragrafy są stosowane, a nie — jak być powinno — jakie są rezultaty działań człowieka poddanego paragrafom. W związku z tym prof. Grzybowski przypomina:

„Człowiek pracuje chętnie wtedy, gdy wie, że pracuje twórczo — swobodnie, tak jak chce, a nie tak jak mu każą paragrafy, że ma swobodę oceny, co czynić powinien. Zrodłem alienacji bywa nie tylko to, że się nie pracuje „dla siebie” może być nim także to, że się jedynie biernie i mechanicznie stosuje paragraf przez kogoś innego stworzony.”

LEKTOR

Drogie zdrowie

Dokończenie ze str. 1

racji). No i wycofano się z zobowiązania, w myśl którego każdy cudzoziemiec przybywający do Wielkiej Brytanii korzystał z uspołecznionej służby zdrowia na równi z obywatelami brytyjskim. W pierwszych latach powojennych do Anglii przyjeżdżali masowo ludzie pragnący się wyleczyć. Istny najazd kon-

tynentu na wyspę! Zwłaszcza popularne było wyjeżdżanie do Anglii na krótki urlop, by za darmo zrobić sobie protezę zębów czyli sztuczną szczękę. Chętnie też udawano się na wyspę wtedy, gdy lekarze widzieli konieczność leczenia szpitalnego — bardzo drogiego w świecie kapitalistycznym. Ale te możliwości od dawna zostały zlikwidowane.

Jaka jest obecnie sytuacja? Po wielu latach rządów konserwatywnych do władzy doszli ponownie labouryści. Rząd Wilsona uznał za wskazane kontynuować w tej dzie-

dzinie stare tradycje, przystąpił więc do przywracania pewnych przywilejów cofniętych przez konserwatystów. Zniesiono więc opłaty za recepty. Już w pierwszym tygodniu po wprowadzeniu tego zarządzenia zapotrzebowanie na lekarstwa wzrosło o 15 proc. — poczem rosło dalej, choć już wolniej. Mówi się (i pisze na łamach brytyjskiej prasy), że co najmniej o tyleż wzrasta ilość leków wyrzucanych na śmietniki. Nieraz są to buteleczki wartości paru funtów.

W ogóle dowiedziałem się przy okazji o ogromnym zamiłowaniu Brytyjczyków do marnotrawstwa. Nie tylko darmowych leków. Także różnych rzeczy osobistego użytku,

które ledwie trochę ponoszone wyrzucane są na śmietniki. Przy czym nie jest to jakaś mania ludzi bogatych. Także w najuboższych dzielnicach miejskich można w kubicach na śmieci znaleźć mnóstwo leków w ledwie napoczętych butelkach.

Podobno poczekalnie lekarskie są z reguły przepelnione, zwłaszcza od poniedziałku do czwartku. Bowiem w piątki i soboty miejscem spotkań towarzyskich są raczej tradycyjne puby (knajpy). W pozostałe dni ludzie chętnie się spotykają w poczekalniach lekarskich, gdzie można zawsze spotkać znajomego pogawędzić, no a w końcu zająć trochę czasu lekarzowi, który przecież musi pacjenta zbadać, coś mu zapisać.

Ale ta zabawa kosztuje państwo bardzo dużo. Znowu więc odywają się głosy na temat konieczności wycofania się z niektórych zdobyczy socjalnych w dziedzinie służby zdrowia.

Oczywiście argumenty, że państwa nie stać na społeczne leczenie są pozorne. W końcu Wielką Brytanię rujnuje nie służba zdrowia, lecz przede wszystkim mocarstwo, wa polityka „na wschód od Suez” i inne podobne imprezy. Ale jest fakt, że w pewnych aspektach służba zdrowia świadczy usługi przesadne. Np. wydawanie narkomanom za darmo narkotyków na receptę (bo są to przecież ludzie chorzy!).

MIECZYSLAW SKAPSKI